Jack Vance

Kiedy wschodzi pięć księżyców

(When The Five Moons Rise)

Cosmos Science Fiction and Fantasy Magazine, March 1954
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Seguilo nie mógł daleko odejść – nie miał dokąd pójść. Kiedy Perrin przeszukał cały budynek latarni i akr samotnej skały, nie było już żadnych innych możliwości – poza niebem i oceanem.

Seguilo nie było ani w latarni, ani nie było go poza budynkiem.

Perrin wyszedł w nocy mrok, mrużąc oczy popatrzył w górę, na pięć księżyców. Seguilo nie było nigdzie widać także na dachu latarni.

Seguilo zniknął.

Perrin popatrzył z niezdecydowaniem ponad falującą mocno zasoloną wodą Maurnilam Var. Jeśli Seguilo poślizgnął się na wilgotnej skale i wpadł do morza, z pewnością odpowie na wołanie... Światło pięciu księżyców mrugało, oślepiało, pobłyskując na powierzchni; Seguilo mógł nawet w tej chwili unosić się zupełnie niewidoczny na wodzie, w odległości mniejszej niż sto jardów.

Perrin krzyknął w stronę ciemnej wody:

— Seguilo!

Odwrócił się i jeszcze raz popatrzył po ścianie latarni. Dookoła wyspy po horyzoncie wirowały dwa bliźniacze snopy czerwonego i białego światła, prowadząc barki płynące z Południowego Kontynentu do Spacetown, ostrzegając je przed Isel Rock.

Perrin ruszył szybko w stronę budynku latarni; Seguilo musiał z pewnością spać w swoim łóżku albo w łazience.

Perrin wszedł do pomieszczenia na szczycie wieży, okrążył reflektor i zbiegł po schodach.

— Seguilo!

Nie było odpowiedzi. Tylko latarnia odpowiedziała metalicznie wibrującym echem. Seguilo nie było ani w jego pokoju, ani w łazience, kuchence, czy magazynie. Gdzie jeszcze mógłby się tu podziać człowiek?

Perrin wyjrzał przez drzwi. Pięć księżyców rzucało mylące cienie. Dostrzegł szarą plamę.

— Seguilo! — Wybiegł na zewnątrz. — Gdzie byłeś?

Seguilo wyprostował się na całą wysokość, szczupły mężczyzna z mądrą, smutną twarzą. Odwrócił głowę; wiatr poniósł jego słowa z dala od uszu Perrina.

Na Perrina spłynęło nagłe olśnienie.

— Musiałeś wejść pod generator!

To było jedyne miejsce, gdzie mógł być.

Seguilo podszedł bliżej.

— Tak… Byłem pod generatorem.

Zatrzymał się niepewnie w pobliżu wejścia, stał spoglądając w górę na księżyce, które tej nocy wzeszły wszystkie razem. Zdumienie zmarszczyło czoło Perrina. Po co Seguilo wchodził pod generator?

— Dobrze się czujesz?

— Tak. Doskonale.

Perrin podszedł bliżej i w świetle pięciu księżyców, Isty, Bisty, Liad, Miad i Poidela, czujnie przyjrzał się Seguilo. Jego towarzysz miał mętne i pozbawione wyrazu oczy; sam zaś zdawał się stać jakoś sztywno.

— Zraniłeś się? Wejdź tu na górę do stopni i usiądź.

— Dobrze.

Seguilo wszedł na kamień, usiadł na stopniach.

— Pewny jesteś, że dobrze się czujesz?

— Pewny.

Po chwili Perrin powiedział:

— Tuż przedtem zanim… wszedłeś pod generator, chciałeś mi coś powiedzieć. Mówiłeś, że to ważne.

Seguilo skinął powoli głową.

— To prawda.

— Co to było?

Seguilo patrzył się tępo w niebo. Zapanowała zupełna cisza, poza odgłosami morza, szumiącego i syczącego w miejscu gdzie skała kryła się pod wodą.

— I? — spytał w końcu Perrin.

Seguilo zawahał się.

— Mówiłeś, że kiedy pięć księżyców wzejdzie razem na niebie, niezbyt rozsądne jest w cokolwiek wierzyć.

— Ach — skinął głową Seguilo, — to prawda.

— Co przez to chciałeś powiedzieć?

— Nie jestem pewien.

— Dlaczego to, żeby w nic nie wierzyć, jest ważne?

— Nie wiem.

Perrin poderwał się gwałtownie na nogi. Seguilo normalnie był rzeczowy, oschle empatyczny.

— Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

— Jestem zdrów jak ryba.

To zabrzmiało bardziej podobnie do Seguilo.

— Może łyczek whisky postawi cię na nogi.

— Brzmi całkiem nieźle.

Perrin wiedział gdzie Seguilo trzymał swój prywatny zapasik.

— Siedź tutaj, przyniosę ci kielicha.

— Dobrze, będę tu siedział.

Perrin pośpieszył do wnętrza latarni, pokonał dwa piętra schodów do kuchenki. Seguilo może tam zostać lub nie; coś w jego wyglądzie, w zachwycie z jakim patrzył na morze, sugerowało że niekoniecznie. Perrin znalazł butelkę i szklaneczkę, a potem zbiegł po schodach. Jakoś był pewien, że Seguilo zniknął.

I Seguilo zniknął. Nie było go na stopniach, nigdzie na całym smaganym przez wiatry akrze powierzchni Isel Rock. Niemożliwe było, aby minął się z Perrinem na schodach. Mógł zejść do maszynowni i znowu wczołgać się pod generator.

Perrin otworzył szeroko drzwi, włączył światła, nachylił się i zajrzał pod obudowę maszyny. Nic.

Warstwa tłustego kurzu, równa, nienaruszona, wskazywała że nikogo nie było tutaj już od dawna.

Gdzie więc był Seguilo?

Perrin wszedł na najwyższą część latarni, starannie przeszukał wszystkie zakamarki od samej góry do wyjścia na zewnątrz. Seguilo nie było.

Perrin wyszedł na zewnątrz, na skałę. Naga i pusta; Seguilo nie było.

Seguilo zniknął. Ciemna woda Maurnilam Var wzdychała i przelewała się przez półkę.

Perrin otworzył usta, by krzyknąć ponad zalanymi księżycowym światłem głębinami, jednak jakoś wydało mu się, że lepiej nie krzyczeć. Wrócił do budynku latarni, usiadł przed nadajnikiem radiowym.

Niepewnie dotknął kontrolek; obsługa urządzenia należała do obowiązków Seguilo. Seguilo sam je zbudował, z części odzyskanych z dwu starych aparatów.

Perrin na początek pstryknął przełącznikiem. Ekran rozbłysnął światłem, głośnik zaczął szumieć i trzeszczeć. Perrin pośpiesznie dostroił urządzenie. Na ekranie pojawiły się strzałki niebieskiego światła, rozpryski szybko przelatujących, czerwonych plamek. Z ekranu spoglądała na niego czyjaś rozmyta, ciemna twarz. Perrin rozpoznał młodszego urzędnika w biurze Komisji w Spacetown. Powiedział naglącym tonem:

— Tu mówi Harold Perrin z Latarni Morskiej na Isel Rock; przyślijcie statek ratunkowy.

Twarz na ekranie patrzyła na niego jakby przez grubą mleczną szybę. Słaby głos zagłuszany przez szumy i trzaski powiedział:

— Niech pan dostroi swoją częstotliwość… nie słyszę pana…

Perrin podniósł głos.

— Czy teraz mnie pan słyszy? — Twarz na ekranie zafalowała i ściemniała.

Perrin zaczął krzyczeć:

— Tu mówi Latarnia Morska Isel Rock! Wyślijcie statek ratunkowy! Słyszycie mnie? Miał miejsce wypadek!

— …sygnał nie przechodzi. Proszę przygotować raport i wysłać… — głos rozpłynął się w szumach.

Wściekle przeklinając pod nosem, Perrin kręcił gałkami, pstrykał przełącznikami. Walnął w aparat pięścią. Ekran rozbłysnął jasnopomarańczowo i zgasł.

Perrin pobiegł za niego, dłubał w nim przez pełne udręki pięć minut, lecz bez skutku. Żadnego obrazu, ani dźwięku.

Perrin powoli wstał. Przez okno spostrzegł pięć księżyców, mknących po zachodnim niebie. „Kiedy pięć księżyców wzejdzie razem", powiedział Seguilo, „niezbyt rozsądne jest w cokolwiek wierzyć". Seguilo zniknął. Zniknął raz już wcześniej, ale wrócił; być może znowu powróci. Perrin wykrzywił się, wzdrygnął. Teraz, to najlepiej by było, gdyby Seguilo został tam gdzie jest. Pobiegł na dół do drzwi wejściowych, zamknął je i zaryglował. Problem dla Seguilo gdyby przywędrował z powrotem… Perrin nachylił się przez moment, opierając się plecami o drzwi, i nasłuchiwał.

Potem poszedł do pomieszczenia generatora, popatrzył pod maszynę. Nic. Zamknął drzwi, wszedł na górę po schodach.

Nic nie znalazł w kuchence, magazynie, łazience, sypialniach. Nikogo w pomieszczeniu reflektora. Nikogo na dachu.

W latarni nie było nikogo poza Perrinem.

Wrócił do kuchenki, zaparzył czajnik kawy, siedział przez pół godziny słuchając westchnień wody na skalnej półce, a potem poszedł na swoją pryczę.

Mijając pokój Seguilo, zajrzał do środka. Łóżko było puste.

Kiedy w końcu wstał rano, w ustach czuł suchość, mięśnie miał obwisłe i obolałe, a oczy go piekły od długiego wpatrywania się w sufit. Opłukał twarz zimną wodą i podszedł do okna, aby przeszukać horyzont. W połowie drogi na wschód wisiała paskudna zasłona z chmur; niebieskozielona Magda świeciła przez nią jak antyczna moneta pokryta patyną. Ponad wodą tworzyły się oleiste kłębki niebieskozielonego światła, łączące się, rozpadające, stapiające… Wzdłuż południowego horyzontu, Perrin wypatrzył parę czarnych kresek-barek, przewożących strumień produktów do Spacetown. Po kilku chwilach, zniknęły w zasłonie chmur.

Perrin przerzucił główny przełącznik; z góry doleciał trzepocący pomruk reflektora, zwalniający i cichnący.

Zszedł po schodach, ze sztywnymi palcami odbezpieczył zasuwę u drzwi, otworzył je na oścież. Wiatr owiał mu twarz, niosąc zapach Maurnilam Var. Był odpływ; Isel Rock wznosiła się ponad wodą, podobna do siodła. Ostrożnie podszedł do krawędzi wody. Niebieskozielona Magda wyjrzała spod kotary chmur; światło przebiło się pod wodę. Wychylając się niepewnie ponad półką, Perrin popatrzył w dół, poza cienie, krawędzie i groty, proso w mroki głębiny… Coś tam jakby się poruszyło; Perrin wytężył wzrok. Stopa mu się ześlizgnęła, niemalże upadł.

Perrin wrócił do budynku latarni, pracował ponuro przez trzy godziny nad radiem, w końcu dochodząc do wniosku, że musiał ulec zniszczeniu jakiś ważny element.

Otworzył zestaw z jedzeniem, przysunął krzesło do okna i usiadł spoglądając ponad oceanem. Jedenaście tygodni do przybycia statku ze zmianą. Isel Rock była już i tak samotnym miejscem, kiedy był tutaj Seguilo.

Niebieskozielona Magda schodziła ku morzu na zachodzie. Chmury w kolorze siarki uniosły się jej na spotkanie. Zachodzące słońce nadało niebu na parę minut wspaniały wygląd: plama o jadeitowej barwie z fioletowymi smugami. Perrin uruchomił podwójną czerwono-białą wiązkę świetlną na jej nocną zmianę, podszedł i stanął koło okna.

Przypływ rósł, woda tryskała ponad półką skalną i opadała z ciężkim hukiem. Na zachodzie wzniósł się w niebo księżyc; Ista, Bista, Liad, Miad czy Poidel? Tubylec wiedziałby już na pierwszy rzut oka. Wzbijały się w górę jeden po drugim, pięć kul, zimnych jak odwieczny lód.

„Niezbyt rozsądne jest w cokolwiek wierzyć…” Co Seguilo miał na myśli? Perrin próbował odpowiedzieć sobie na to pytanie. Seguilo powiedział: „To nie jest zbyt częste, bardzo rzadkie, prawdę mówiąc, że pięć księżyców zbiera się razem tam w górze… ale kiedy już tak się stanie,

przypływy będą wysokie.” Zawahał się, wyglądając na dwór, na półkę. „Kiedy pięć księżyców wzejdzie razem,” powiedział Seguilo, „niezbyt rozsądne jest w cokolwiek wierzyć”.

Perrin popatrzył na niego z pomarszczonym z zakłopotania czołem. Seguilo był starym pracownikiem, znał mity i tradycje, o których mówił od czasu do czasu. Perrin nigdy do końca nie wiedział, czego się spodziewać po Seguilo; posiadał on cechy niezbędne do pracy w latarni morskiej – delikatność – małomówność. Urządzenie radiowe było jego hobby; w ignoranckich rękach Perrina, urządzenie zniszczyło się samo. Na potrzeby latarni, pomyślał Perrin, funkcjonował jeden z nowych nadajników, z samodzielną jednostką zasilającą, zdalnym sterowaniem, nowym organicznym ekranem, miękkim i elastycznym, jak wielkie oko…

Nagły deszczowy szkwał pokrył zasłoną połowę nieba; Pięć księżyców pędziło w stronę ławicy chmur. Przypływ zalewał wysoko skalną półkę, zakrywając niemalże zupełnie, jakiś szary obiekt. Perrin popatrzył na to z zainteresowaniem; co to mogło być?… Mniej więcej o rozmiarach transmitera i miało z grubsza właściwy kształt. Oczywiście, to nie mógł być transmiter… A jednak, jakież to byłoby cudowne, gdyby był… Przymrużył oczy i wytężył wzrok. To coś miało, z pewnością, ekran w kolorze mleka; te czarne kropki, wyglądały jak pokrętła. Zerwał się na nogi, zbiegł po schodach, wypadł na dwór i popędził przez skałę… To było irracjonalne; skąd miałby wziąć się tutaj transmiter, dokładnie w chwili kiedy go pragnął, jakby w odpowiedzi na jego modlitwy? Oczywiście, mógłby być częścią jakiegoś ładunku, który wypadł za burtę…

I rzeczywiście, mechanizm był przymocowany do tratwy z drewna Manasco i ewidentnie wyniesiony został na półkę przez wysoki przypływ.

Perrin nie mogąc uwierzyć w swe ogromne szczęście, przykucnął koło szarego pudła. Zupełnie nowiutki, z czerwonymi zabezpieczeniami na głównym włączniku.

Był za ciężki, żeby go przenieść. Perrin zerwał zabezpieczenia i włączył zasilanie: to było urządzenie, które potrafił zrozumieć. Ekran zaświecił się jasno.

Perrin połączył się na paśmie Komisji. Pojawiło się wnętrze biura, z którego spoglądała na niego twarz nie podrzędnego urzędnika, ale samego nadinspektora Raymonda Flinta. Nie mogło być lepiej.

— Panie nadinspektorze! — zawołał Perrin. — Tu mówi Harold Perrin z Latarni na Isel Rock.

— Och, tak — odparł nadinspektor Flint. — Co u pana, Perrin? Z czym ma pan problem?

— Mój partner, Andy Seguilo, zniknął – zupełnie jakby rozpłynął się w powietrzu; zostałem tutaj sam.

Nadinspektor Flint wyglądał na wstrząśniętego.

— Zniknął? Co się stało? Czy wpadł do oceanu?

— Nie wiem. Po prostu, zniknął. To się stało ostatniej nocy…

— Powinien pan wcześniej się z nami połączyć — strofująco powiedział Flint. — Wysłałbym na poszukiwania helikopter ratunkowy.

— Próbowałem nawiązać połączenie — wyjaśnił Perrin — ale nie mogłem zmusić do działania regularnego transmitera. Wybuchnął mi w twarz… Myślałem już, że zostałem tutaj uwięziony.

Nadinspektor Flint uniósł brwi z lekkim zaciekawieniem.

— To czego pan używa teraz?

Perrin wyjąkał:

— To zupełnie nowe urządzenie… przyniosło je morze. Prawdopodobnie wypadło z barki.

Flint skinął głową.

— Ci z obsługi barek są strasznie nieważni… wydaje się, że nie rozumieją, ile kosztuje sprzęt… No dobrze, niech pan tam siedzi i czeka. Polecę wysłać rano samolot z rezerwową obsadą. Pan zostanie przeniesiony do służby wzdłuż Floral Coast. Pasuje to panu?

— Bardzo dobrze, proszę pana — odparł Perrin. — Naprawdę, bardzo dobrze. Nie mogę o niczym myśleć i lepiej będzie, jeśli… Isel Rock zaczyna działać mi na nerwy.

— Kiedy wzejdzie pięć księżyców — powiedział grobowym głosem nadinspektor Flint, — niezbyt rozsądne jest w cokolwiek wierzyć.

Ekran zgasł.

Perrin uniósł rękę, powoli wyłączając zasilanie. Kropla deszczu spadła mu na twarz. Popatrzył w niebo. Szkwał był już niemalże prosto nad jego głową. Szarpnął za transmiter, chociaż dobrze zdawał sobie sprawę, że urządzenie jest zbyt ciężkie, aby mógł je poruszyć. W magazynie miał brezent, który powinien zabezpieczyć transmiter do rana. Rezerwowa załoga pomoże mu przeciągnąć go do środka.

Pobiegł do budynku latarni, znalazł brezent i pośpiesznie wyskoczył z nim z powrotem na zewnątrz. Gdzie był transmiter?… Ach, tam. Pobiegł poganiany przez krople deszczu, owinął brezent wokół pudła, zawiązał go mocno i popędził z powrotem do latarni. Zaryglował drzwi i pogwizdując, otworzył puszkę z kolacją.

Deszcz wirował na wietrze i chłostał latarnię. Podwójne snopy biało-czerwonego światła omiatały gwałtownie niebo. Perrin położył się do łóżka, i leżał w cieple, senny… Zniknięcie Seguilo to straszna sprawa; zostawi ona bliznę na jego umyśle. Ale to już się stało i dajmy temu spokój. Trzeba to zostawić za sobą i patrzeć w przyszłość. Floral Coast…

Rano, niebo było puste i czyste. Maurnilam Var rozciągało się gładkie jak tafla, jak okiem sięgnąć. Isel Rock spoczywała naga w słońcu. Wyjrzawszy przez okno, Perrin zobaczył zmięty stos – brezent, sznury. Transmiter i tratwa z Manasco całkowicie zniknęły.

Perrin siedział w wejściu. Słońce wspinało się po niebie. Kilkanaście razy zrywał się na nogi, nasłuchując dźwięku silników. Ale samolot ze zmianą się nie pojawiał.

Słońce osiągnęło zenit i przesunęło się ku zachodowi. Na milę od skały zdryfowała barka. Perrin wybiegł na skalną półkę, krzycząc i wymachując rękoma.

Wychudzeni, opaleni na czerwono ludzie z barki, rozciągnięci na ładunku, przypatrywali się z ciekawością, ale nawet się nie ruszyli. Barka zniknęła na wschodzie.

Perrin wrócił na próg, usiadł z twarzą w dłoniach. Po skórze przebiegały mu na przemian zimne i gorące dreszcze. Nie będzie samolotu ze zmianą. Zostanie tutaj, na Isel Rock. Spędzi tu dzień za dniem, pełne jedenaście tygodni.

Apatycznie wszedł po schodach na górę, do bufetu. Żywności mu nie brakowało, nie będzie głodował. Ale czy zdoła znieść tę samotność, niepewność? Znikający, powracający i ponownie znikający Seguilo… Nierzeczywisty transmiter… Kto był odpowiedzialny za te okrutne żarty? Pięć księżyców wschodzących razem – czy to było jakoś powiązane ze sobą?

Znalazł kalendarz, zaniósł go do stołu. U góry każdej ze stron, pięć kółek na czarnym pasku symbolizowało księżyce. Tydzień temu ich wschody związane były ze sobą zupełnie przypadkowo. Cztery dni temu, Liad, najpóźniejszy z nich i Poidel, najwcześniejszy, rozdzielało od siebie trzydzieści stopni, a Ista, Bista i Miad porozrzucane były między nimi w różnych odstępach. Dwie noce temu, ich zewnętrzne krawędzie niemal się stykały; ostatniej nocy, były nawet jeszcze bliżej. Dzisiejszej nocy Liad miał wzejść później od Bisty… Ale pięć księżyców i zniknięcie Seguilo – gdzie tu było jakieś powiązanie?

W ponurym nastroju Perrin zjadł kolację. Magda zaszła za Maurnilam Var bez śladu, nad Isel Rock rozpostarł się ciemny zmierzch, woda podnosiła się i szumiała na skalnej półce.

Perrin włączył światło i zamknął drzwi. Koniec nadziei, koniec wiary. Statek zabierze go do Spacetown za jedenaście tygodni; tymczasem musiał wykorzystać jak się da, to co miał do dyspozycji.

Przez okno dostrzegł niebieską poświatę na wschodzie, przyglądał się jak Poidel, Ista, Bista, Liad i Miad wzbijały się coraz wyżej na niebo. Wraz z księżycami nadszedł przypływ. Maurnilam Var ciągle było spokojne, a każdy z księżyców kładł swoją oddzielną ścieżkę odbitego światła na powierzchni wody.

Perrin popatrzył po niebie, wokół linii horyzontu. Piękny, ale samotny widok. W towarzystwie Seguilo też czasami czuł się samotnie, ale nigdy aż tak odizolowany jak obecnie. Jedenaście tygodni samotności… Gdyby tylko mógł znaleźć jakieś towarzystwo… Perrin pozwolił swoim myślom ulecieć.

W księżycowym świetle szła jakaś smukła postać, mająca na sobie płowe bryczesy i białą sportową koszulę z krótkimi rękawami.

Perrin wpatrywał się w nią, niezdolny się poruszyć. Postać podeszła po schodkach do drzwi, zastukała do nich. Z klatki schodowej dobiegł na górę stłumiony odgłos.

— Halo, czy jest ktoś w domu? — był to czysty, kobiecy głos.

Perrin otworzył okno, zawołał chrapliwie:

— Idź, sobie!

Cofnęła się parę kroków, odwróciła głowę i księżycowe światło oświetliło rysy jej twarzy. Głos Perrina zamarł mu w gardle. Poczuł, że serce wali mu szaleńczo.

— Idź sobie? — powiedziała lekko zaskoczonym tonem. — Ale ja nie mam dokąd pójść.

— Kim jesteś? — spytał. Głos zabrzmiał mu dziwnie nawet dla jego własnych uszu – rozpaczliwie pełen nadziei. Pomimo wszystko, wyglądała tak prawdopodobnie – nawet pomimo tego, że była nieprawdopodobnie piękna… Mogła przecież przylecieć czymś ze Spacetown. — Jak się tu dostałaś?

Machnęła ręką w stronę Maurnilam Var.

— Mój samolot spadł jakieś trzy mile stąd. Dopłynęłam tu na małej tratwie ratunkowej.

Perrin popatrzył wzdłuż linii brzegu. Zarys tratwy ratunkowej był ledwie widoczny.

Dziewczyna zawołała:

— Wpuści mnie pan do środka?

Perrin potykając się ruszył po schodach. Zatrzymał się przy drzwiach, z jedną ręką na ryglach zamka, czując jak krew szumi mu w uszach.

Niecierpliwe łomotanie wstrząsnęło jego dłonią.

— Ja tu zaraz zamarznę na śmierć.

Perrin pozwolił, by drzwi otworzyły się. Stała tuż przed nim, na wpół uśmiechnięta.

— Jest pan bardzo ostrożnym latarnikiem – czy też może nienawidzi pan kobiet?

Perrin przyjrzał się jej twarzy, oczom, wyrazowi ust.

— Czy pani jest… prawdziwa?

Roześmiała się, zupełnie nie obrażona.

— Oczywiście, że jestem prawdziwa. — Wyciągnęła w jego stronę rękę. — Proszę mnie dotknąć.

Perrin wpatrywał się w nią – woń nocnych kwiatów, jedwabista miękkość, gorąca krew, słodycz, cudowny ogień.

— Proszę mnie dotknąć — powtórzyła cicho.

Perrin cofnął się, niepewnie, a ona ruszyła naprzód, wchodząc do wnętrza latarni.

— Czy może pan połączyć się z brzegiem?

— Nie… Mój transmiter nie działa.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

— Kiedy przypłynie łódź ze zmianą?

— Za jedenaście tygodni.

— Jedenaście tygodni! — złapała powietrze w lekkim, cichym westchnieniu.

Perrin cofnął się o kolejne pół kroku.

— Skąd panie wiedziała, że jestem sam?

Wyglądała na zdezorientowaną.

— Nie wiedziałam… Ale czy latarnicy nie są przez cały czas sami?

— Nie.

Podeszła krok bliżej.

— Nie wygląda pan na zadowolonego z mojego widoku. Czy jest pan… samotnikiem?

— Nie — odparł Perrin ochrypłym głosem. — Wręcz przeciwnie… Ale nie mogę się przyzwyczaić do pani obecności. Jest pani… cudowna. Zbyt

wspaniała, żeby była prawdziwa. Właśnie przed chwilą pragnąłem aby być z kimś… dokładnie takim jak pani. Dokładnie.

— I, oto jestem.

Perrin poruszył się nerwowo.

— Jak się pani nazywa?

Wiedział co powie, jeszcze zanim się odezwała:

— Sue.

— Sue, jak? — Próbował utrzymać pustkę w myślach.

— Och… po prostu Sue. Czy to nie wystarczy?

Perrin poczuł, że skóra na twarzy mu się napręża.

— Gdzie pani mieszka?

Popatrzyła gdzieś ponad jego ramieniem. Perrin utrzymywał pustkę w myślach, ale przebiło się przez nią jedno słowo.

— Piekło.

Perrin poczuł, że każdy oddech przychodzi mu z trudem.

— A jakie jest to Piekło?

— Jest… zimne i ciemne.

Perrin cofnął się o krok.

— Odejdź stąd. Odejdź.

Wzrok mu się zaćmił; jej twarz rozpłynęła się, tak jakby oczy zaszły mu łzami.

— Gdzie mam pójść?

— Z powrotem, tam skąd przyszłaś.

— Ale — nieszczęśliwie — nie mam dokąd, poza Maurnilam Var. A tutaj… — Urwała wpół słowa, zrobiła szybki krok do przodu i stanęła, patrząc mu prosto w twarz. Poczuł ciepło jej ciała. — Boisz się mnie?

Perrin oderwał wzrok od jej twarzy.

— Nie jesteś prawdziwa. Jesteś czymś, co przyjęło kształt z moich myśli. Może to ty zabiłaś Seguilo… Nie wiem, czym jesteś. Ale nie jesteś prawdziwa.

— Nieprawdziwa? Oczywiście, że jestem prawdziwa. Dotknij mnie. Poczuj ciepło mojej dłoni. — Perrin cofał się tyłem. Powiedziała z uczuciem: — Proszę, oto jest nóż. Jeśli jesteś pewien tego co mówisz, zatnij mnie; zobaczysz płynącą krew. Tnij głębiej… znajdziesz kość.

— A co się stanie — powiedział Perrin — jeśli wbiję ci nóż w serce?

Nie odpowiedziała, wpatrując się w niego wielkimi oczyma.

— Dlaczego tutaj przyszłaś? — krzyknął Perrin.

Uciekła wzrokiem, spoglądając z powrotem w stronę wody.

— To magia… ciemność… — Mamrotała nieskładne słowa; Perrin uświadomił sobie nagle, że te same słowa pojawiały się w jego myślach. Czy ona po prostu, jak papuga w czasie całej tej rozmowy powtarzała jego słowa? — Potem pojawia się powolne przyciąganie — mówiła dalej. — Unoszę się, pragnę powietrza, księżyce unoszą mnie w górę… Zrobiłabym wszystko, by utrzymać swoje miejsce w powietrzu…

— Mów własnymi słowami — szorstko polecił Perrin. — Wiem, że nie jesteś prawdziwa – ale gdzie jest Seguilo?

— Seguilo? — Sięgnęła dłonią do tyłu głowy, dotknęła włosów, uśmiechnęła się sennie do Perrina. Prawdziwa, czy nie, puls Perrina zadudnił mu w uszach. Prawdziwa, czy nie…

— Nie jestem snem — powiedziała. — Jestem prawdziwa...

Ruszyła powoli w stronę Perrina, czując jego myśli, z twarzą lekko odchyloną, gotowa.

Perrin wyrzucił z siebie ze zduszonym sapnięciem:

— Nie, nie. Odejdź. Idź sobie stąd!

Zatrzymała się w pół kroku, patrząc na niego oczyma, które nagle stały się nieprzejrzyste.

— Dobrze. Teraz więc sobie idę…

— Teraz! Zawsze!

— …ale może jeszcze kiedyś przywołasz mnie z powrotem …

Powoli wyszła przez drzwi. Perrin podbiegł do okna i obserwował jak jej smukłe kształty rozmywają się w księżycowym świetle. Podeszła do krawędzi skalnej półki i zatrzymała się tam. Perrin poczuł nagły, nie do zniesienia, ból; co on odrzucił? Prawdziwa, czy nie, była wszystkim czego pragnął; była identyczna z rzeczywistością. Wychylił się przez okno, żeby zawołać: „Wróć… czymkolwiek jesteś…”. Powstrzymał się jednak. Kiedy znowu spojrzał na nią, zniknęła. Dlaczego odeszła? Perrin zastanawiał się, patrząc na zalane światłem księżyców morze. Pragnął jej, ale już w nią nie wierzył. Uwierzył w kształt zwany Seguilo; uwierzył w transmiter – i obie te rzeczy niewolniczo spełniały jego oczekiwania. Podobnie jak dziewczyna, i odesłał ją… Słusznie, powiedział sobie z żalem. Kto wie w co mogłaby się zmienić, gdyby odwrócił się do niej plecami…

Kiedy wreszcie nadszedł świt, przyniósł ze sobą nową pokrywę chmur. Niebieskozielona Magda błyszczała ponuro i mgliście, jak spleśniała pomarańcza. Woda połyskiwała oleiście… Ruch na zachodzie – prywatna barka wodza Panapy przemierzała horyzont, skacząc jak wodny pająk. Perrin rzucił się po schodach do pomieszczenia latarni, przekręcił reflektor prosto na barkę i wysłał nieregularną serię błysków.

Barka płynęła dalej, wiosła rytmicznie zanurzały się i wynurzały z wody. Nad morzem dryfowała porwana smuga mgły. Barka stała się ciemnym, szarpiącym się kształtem, a następnie zniknęła.

Perrin udał się do starego transmitera Seguilo, usiadł, przyglądając się mu. Skoczył na równe nogi i wyciągnął ze skrzynki elektroniczne wnętrzności, rozkładając cały obwód.

Zobaczył popalony metal, przewody stopione na krople, popękane elementy ceramiczne. Wepchnął cały kłąb części w kąt i podszedł, do okna.

Słońce stało w najwyższym punkcie, niebo miało kolor zielonych winogron. Morze falowało leniwie, wielkie amorficzne fale wznosiły się i opadały bez żadnego widocznego kierunku ruchu. Obecnie była pora odpływu, półka skalna wznosiła się wysoko w górze, czarna skała wyglądała nago i dziwnie. Morze pulsowało, do góry, w dół, do góry, pluszcząc hałaśliwie na kawałkach skalnego rumowiska.

Perrin zszedł na dół. Po drodze popatrzył w lustro łazienki, z którego spoglądała na niego jego własna twarz, blada, z szeroko otwartymi

oczyma, pustymi policzkami i pozbawiona blasku. Ruszył dalej po schodach, wychodząc w końcu na zalaną słonecznym światłem skałę.

Ostrożnie wszedł na półkę nad wodą i wyjrzał poza jej krawędź, z jakąś dziwną fascynacją. Falująca woda zniekształcała widok; nie był w stanie dostrzec niczego więcej, tylko cienie i przemieszczające się smugi światła.

Krok za krokiem, wycofał się z półki. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Perrin wszedł z powrotem na skałę.

Wrócił do budynku latarni i usiadł w wejściu. Dzisiejszej nocy, drzwi pozostaną zamknięte. Żadna siła ani zachęta nie przekona go, aby je otworzyć; najbardziej nawet fascynujące widziadła mogą go błagać, na próżno. Jego myśli powędrowały do Seguilo. W co Seguilo uwierzył; jaką istotę wytworzyły jego chore wymysły, istotę o takiej mocy i na tyle nikczemną, aby go stąd wywabić? Zdaje się, że każdy człowiek mógł się stać ofiarą swojej wyobraźni, a kiedy pięć księżyców wędrowało razem po niebie, Isel Rock nie była miejscem dla ludzi o zbyt wybujałej fantazji.

Dzisiaj w nocy zamknie dobrze drzwi, położy się do łóżka i będzie spać, bezpiecznie skryty za barierą ze spawanej stali i własnej nieświadomości.

Słońce zaszło za ławicą gęstych chmur. Północ, wschód, południe czerwieniły się fioletem, zachód świecił żółcią i mroczną zielenią, ciemniejącymi szybko i przechodzącymi w tonacje brązów. Perrin wszedł do latarni, zaryglował drzwi, włączył bliźniacze snopy czerwonego i białego światła, omiatające horyzont.

Otworzył puszkę z kolacją i apatycznie jadł. Na dworze panowała już ciemna noc, pusta z wszystkich stron. W miarę jak podnosiła się fala przypływu, przelewająca się przez półkę woda syczała i pojękiwała.

Perrin położył się do łóżka, ale sen nie nadchodził. Przez okno wlewała się elektryczna poświata, później wzeszło pięć księżyców, świecących przez mgiełkę na niebie, tak jakby owinięto je w niebieską gazę.

Perrin uniósł niespokojnie głowę. Nie było się czego bać, w latarni był bezpieczny. Żadna ludzka dłoń nie była w stanie sforsować metalowych drzwi; wymagałoby to siły mastodonta, szponów skalnego choundryla i zaciekłości maldeńskiego rekina lądowego…

Podniósł się na pryczy na łokciu… Jakiś dźwięk z zewnątrz? Zerknął przez okno, z sercem podchodzącym do gardła. Wysoki kształt, niewyraźny. Kiedy go obserwował, ciężko podszedł do budynku latarni – dokładnie tak, jak sobie to wyobrażał.

— Nie, nie — wykrzyknął przyciszonym głosem Perrin. Wcisnął się w łóżko, schował głowę pod kocem. — To tylko wymysł mojej wyobraźni, nie jest prawdziwy… Idź sobie stąd. — wyszeptał szaleńczo. — Odejdź.

Nasłuchiwał. Teraz musiał być już gdzieś w pobliżu drzwi. Podnosił właśnie pewnie ciężką łapę, szpony połyskiwały w świetle księżyców.

— Nie, nie — krzyknął Perrin. — Tam nic nie ma…

Uniósł głowę i nasłuchiwał.

Grzechot i zgrzyt przy drzwiach. Łomot, jakby jakaś ogromna masa próbowała wyrwać zamek.

— Odejdź stąd! — wrzasnął Perrin. — Nie jesteś prawdziwy!

Drzwi zajęczały, zasuwy wygięły się.

Perrin stał u szczytu schodów, ciężko łapiąc powietrze ustami. Drzwi mogły poddać się w każdej chwili. Wiedział, co zobaczy: czarną sylwetkę, wysoką i zaokrągloną jak słup, z oczyma jak reflektory samochodowe. Perrin wiedział nawet jaki dźwięk, jako ostatni dotrze do jego uszu – straszliwy zgrzytliwy skrzek…

Górny rygiel pękł, drzwi zachwiały się. Ogromne czarne łapsko wcisnęło się do środka. Perrin widział błyszczące szpony, kiedy potworne paluchy szukały drugiej zasuwy.

Oczy biegały mu jak szalone po całej latarni, rozpaczliwie szukając jakiejś broni... Tylko klucz nastawny, nóż kuchenny.

Dolna zasuwa pękła, drzwi wykręciły się. Perrin stał jak wmurowany, jego umysł zamarł. Z jakiegoś głęboko skrytego, zbawczego neuronu wyrwała się pewna myśl. To, pomyślał Perrin, jest jedyna szansa.

Popędził z powrotem do swojej sypialni. Drzwi za jego plecami zagrzechotały, usłyszał ciężkie kroki. Rozejrzał się po pokoju. Gdzie jest but.

Głuchy łomot tupnięć! W górę po schodach, cała latarnia aż wibrowała. Fantazja Perrina drążyła najstraszliwsze wizje, wiedział co za chwilę usłyszy. I dobiegł do niego głos – ochrypły, pusty, ale podobny do innego głos, tak przecież słodkiego.

— Mówiłam ci, że wrócę.

Łup, łup, coraz wyżej po schodach. Perrin złapał but za palce, zamachnął się i z całej siły walnął się nim w bok głowy.

* * * *

Perrin odzyskał przytomność. Dokuśtykał do ściany, oparł się o nią. Po chwili namacał swoje łóżko i usiadł na nim.

Na zewnątrz panowała spokojna, ciemna noc. Chrząknął i wyjrzał przez okno na niebo. Pięć księżyców wisiało daleko na zachodzie. Poidel wysforował się już do przodu, podczas gdy Liad wyraźnie zostawała za nim.

Jutrzejszej nocy, pięć księżyców wzejdzie już oddzielnie.

Jutrzejszej nocy nie będzie wysokiego przypływu, pluskania i szumów o skalną półkę.

Jutrzejszej nocy księżyce nie wezwą żadnych tęskniących kształtów z falującego mroku.

Jedenaście tygodni do przybycia zmiany. Perrin ostrożnie obmacał sobie bok głowy… Całkiem solidny guz.

KONIEC